

BOGATA, EKSCENTRYCZNA RODZINA. UŚWIĘCONA TRADYCJA.

CZY MOŻE ŚMIERTELNA GRA O PRZETRWANIE?

RODZINNA GRA



CATHERINE
STEADMAN

PRZEŁOŻYŁA DOROTA POMADOWSKA



RODZINNA GRA



CATHERINE
STEADMAN

PRZEŁOŻYŁA
Dorota Pomadowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Family Game

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Javani LLC, © stone36, © Janet / Stock.Adobe.com

Zdjęcie na s. 171, 262, 286 i 339: © Anankml / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2022 by Catherine Steadman

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova
an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Dorota Pomadowska, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2023
ISBN 978-83-8321-437-5

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Nowojorska bajka

PONIEDZIAŁEK, 21 LISTOPADA

Świąteczne lampki mrugają w deszczu, kiedy zanurzam się w Piątej Alei – czerwienie, zielenie i złoto błyszczą, gdy odbijają się w kałużach i szybach, a ja idę, lawirując w tłumie na chodniku z telefonem przyciśniętym mocno do ucha.

– A dobra wiadomość jest taka, że pod koniec tego tygodnia osiągniemy pułap miliona sprzedanych egzemplarzy! Zrobiłyśmy to, Harry! – wiwatuje przez telefon Louisa, moja agentka literacka. Ma taki ciepły i czuły głos, jakby otulała mnie nim przed zimnem w tym nowojorskim przenikliwym chłódzie.

Staram się nie myśleć o tych blisko sześciu tysiącach kilometrów, które dzielą Nowy Jork od Londynu – mnie od mojego dawnego domu i jego miękkiej, wilgotnej szarości – ale czasami budzi się we mnie tęsknota za krajem

rodzinnym i pulsuje tuż pod powierzchnią mojego nowego życia. Minęły cztery miesiące, odkąd wyjechałam z Anglii, a ta nostalgia za domem jakoś przybiera na sile teraz, kiedy zima zawitała tutaj na dobre. Nowy Jork pod tyloma względami potrafi być chłodny.

– I na dobrą sprawę – kontynuuje z radością Louisa – właśnie informuję cię, że oficjalnie zostałam „bestsellerową pisarką, której książka sprzedała się w nakładzie miliona egzemplarzy”. – Nie mogąc się powstrzymać, wznoszę okrzyk radości i dyskretnie podryguję na ulicy. To cudowna wiadomość.

Moja pierwsza powieść, która szybko znalazła się na szczycie listy bestsellerów, pozostaje na niej od momentu wydania, ale ten nowy kamień milowy to coś, o czym jeszcze do niedawna mogłam jedynie pomarzyć. Nowy Jork łączywie połyka moją żywiołową energię. Zapewne mogłabym się położyć na chodniku i zacząć wrzeszczeć wniebogłosy, a ci święteczni zakupowicze po prostu ominęliby mnie niewzruszeni. Dziwnie przerażająca i jednocześnie dodająca otuchy myśl.

– Na koniec kwartału dostaniemy kolejne honorarium od wydawcy – mówi dalej moja agentka. – Wobec tego wesółych świąt dla wszystkich!

Zabawne. Dopiero listopad, a mam wrażenie, jakby już były święta Bożego Narodzenia. Spoglądam na poświatę neonów nad głową, na świąteczne dekoracje błyszczące na sklepowych wystawach, uformowane w ogromne smugi światła nad główną jezdnią Piątej Alei. W tym roku wszystko wydaje się gnać do przodu niczym jakaś trąba powietrzna albo wir wodny.

– Co tam po drugiej stronie? – pyta Louisa, przywołując mnie do rzeczywistości. – Uspokojona? Szczęśliwa? Jak tam twoja miłość?

Śmieję się zaskoczona, ponieważ jakkolwiek to brzmi, naprawdę mam poczucie triumfu i zadowolenia z siebie. Po tylu latach, kiedy byłam sama, po tym, jak odpychałam od siebie wszystkie relacje, być może zapłaciłam już za swoje błędy i mogę przestać. Może w końcu należy mi się odrobina szczęścia.

Odpędzam od siebie te ponure myśli i obiema rękami chwytam się mojego nowego życia.

– Teraz przynajmniej mamy jakieś meble. Nie jestem pewna, czy do końca rozpracowałam metro, ale chyba jakoś tam dotrę. A może i nie – dodaję żartobliwie.

Prawda jest taka, że chociaż zaczynam czuć miętę do Nowego Jorku, to jednocześnie uświadamiam sobie, że próbuję osiąść na stałe w mieście, które samo w sobie nie ma charakteru osiadłego. Tłumy, hałas, twarze, ludzie, cała ta gorączkowa energia w stylu „walcz albo uciekaj”. Zapewne chodzi o to, że to dopiero cztery miesiące – wiem, że stanie się częścią miasta, znalezienie swojego miejsca może zająć całe życie. A ten świat, w którym tutaj wylądowałam razem z Edwardem, jego elitarne życie, te nowe kręgi towarzyskie, w które wchodzę, to jeszcze całkiem inna bajka.

– A jak się miewa twój ideał? Jak tam Ed? – pyta Louisa, jakby czytała w moich myślach. Przemykam obok gromadki turystów przed katedrą Świętego Patryka, której dzwony biją anachronicznie w sąsiedztwie górujących nad nimi szkła i stali.

Louisa towarzyszyła mi tamtego wieczoru, kiedy poznałam Edwarda. Drzę na samo wspomnienie tego, jak na mnie spojrzała, gdy przyprowadziłam go, żeby ją poznał. Ta cicha duma, która mnie rozpieła, kiedy czułam, że trzymam go

pod ramię. Zapewne podobne uczucie mają wędkarze, gdy tułają w ramionach swoje ogromne, połyskujące zdobycze. Jednak tę moją mieniącą się tęczowymi barwami nagrodę mogę przypisać jedynie przypadkowi i wyczuciu odpowiedniej chwili. Właściwie precyzyjniej byłoby powiedzieć, że to Edward wyłowił mnie z tego strumienia niż odwrotnie.

Skłamałabym, gdybym twierdziła, że pochodzenie Edwarda, jego nawyki, rytuały, tak bardzo mi obce, nie dodawały mu osobliwego uroku. Jego świat różni się od mojego, wszystko, co robi, jest przepełnione subtelnym blaskiem luksusu. Nie wiedziałam, kim jest, kiedy po raz pierwszy się do mnie odezwał.

Poznaliśmy się na dorocznej Letniej Gali organizowanej przez mojego wydawcę – wystawnym gwiazdorskim przyjęciu pełnym bestsellerowych autorów, ambitnych redaktorów i superagentów literackich. Tamtego roku przyjęcie odbywało się w Muzeum Historii Naturalnej, w strzelistym wiktoriańskim budynku ozdobionym jaskrawymi bukietami tropikalnych kwiatów – orchidei oraz mocno pachnących lilii. Kelnerzy w białych muszkach niosący szampana wysoko ponad głowami rozmawiających ze sobą posiadaczy znanych nazwisk, debiutujących pisarzy i recenzentów. Było to moje pierwsze duże przyjęcie dla pisarzy, tuż po wydaniu mojej książki, która wyszła zaledwie tydzień wcześniej i od razu wskoczyła na listę dziesięciu najlepiej sprzedających się tytułów. Kupiłam na tę uroczystość niedorzecznie drogą szmaragdową suknię, a potem spędziłam pół wieczoru, usiłując nie rozlać na nią alkoholu albo nie poplamić jej tartinkami. Byłam zdenerwowana i kompletnie zagubiona, aż wreszcie zdołałam się schronić przed tym szaleństwem

we względnym spokoju toalet. Nie jestem jakąś mimozą, ale zbyt duży hałas i zbyt wiele twarzy otwierają stare rany, przestrajają moje zmysły na inną częstotliwość.

Wydarzyło się to w drodze powrotnej z toalety, kiedy szłam, trzymając pusty kieliszek w dłoni. Początkowo sądziłam, że to nic takiego, że po prostu zahaczyłam o coś szpilką i zachwiałam się. Ale to zahaczenie zamieniło się w zatrzymanie, szarpnięcie i czerwony rumieniec, kiedy spojrzenie za siebie potwierdziło, że moja szpilka utknęła na dobre w jednym z niewielkich otworów wentylacyjnych w muzealnej podłodze. Wiktoriańskie centralne ogrzewanie.

Szarpnęłam po raz kolejny i szpilka chyba się poluzowała, ale kilka mijających mnie par oczu zwróciło się w moją stronę i wpadłam w panikę. Pociągnęłam obcasem jeszcze raz, tym razem mocniej. I z imponującym pokazem siły wstecznej i strasznie głośnym metalicznym brzękiem jakimś sposobem udało mi się całkowicie wyrwać z kamiennej podłogi stu pięćdziesięcioletnią kratkę z kutego żelaza, która nadal była przyczepiona do mojej szpilki od Diora. Ten hałas i widowisko przyciągnęły teraz wzrok wszystkich, którzy znajdowali się w pobliżu.

Z głębokim pragnieniem, żeby nie przedłużyć tego doświadczenia, ale zupełnie nie wiedząc, cóż innego mogłabym zrobić, podciągnęłam sukienkę i cała czerwona ze wstydu na wpół zaniosałam, na wpół zaciągnęłam po posadzce całą tę kratkę z kutego żelaza z powrotem do ziejącej pustką dziury w podłodze. Kratka wydawała głośne dźwięki, kiedy usiłowałam włożyć ją z powrotem na miejsce, przez cały czas z uwięzioną w niej szpilką. I właśnie wtedy on mnie uratował, z silną dłonią na moich plecach, z tym ciepłym

amerykańskim akcentem, z niskim głosem dodającym otuchy niczym ognisko domowe.

– Dobrze, dobrze. Już widzę, w czym problem. – Jego pierwsze słowa do mnie. I chociaż oczywiście miał na uwadze problem z moim butem i z kratką oraz to, że potrafi go rozwiązać, do dziś lubię myśleć, że dostrzegł wtedy większy problem z moją przeszłością, z pustką w moim życiu, i że to wszystko też był w stanie naprawić. Nie jestem jakąś tam damą w opałach, naprawdę przeżyłam dużo więcej niż większość ludzi, ale nie można nie doceniać przytłaczającej władzy kogoś, kto pojawia się nagle, żeby cię uratować po tym, jak przez całe życie sama musiałaś się ratować z opresji.

Te przepełnione takim rozbrajającym spokojem oczy, które spojrzały na mnie z niewzruszoną pewnością, że wszystko świetnie się ułoży. Ciepło jego skóry na moich nagich łopatkach. Nie miałam czasu, żeby jak zwykle stawiać granice i odciąć się od bliskości albo ją odepchnąć, ponieważ tkwiłam tam uwięziona.

Ten niewiarygodnie przystojny mężczyzna przyklęknął na jedno kolano, jakby się oświadczał niczym księżę z bajki o Kopciuszku, i kiedy delikatnie wykręcał mój poszarpany but z tej kratki, a ja trzymałam dłoń na jego silnych ramionach, poczułam, jak coś we mnie drgnęło. Jakaś nadzieja, od dawna tłumiona, budziła się do życia w mroku. A reszta to już przeszłość.

Oto jestem o jeden rok i wiele zmian później, ruszywszy z posad cały kontynent i całe moje życie, żeby z nim być.

– Ed świetnie sobie radzi – odpowiadam, chociaż obie wiemy, że to eufemizm. Nowa firma Eda ma większe miesięczne obroty niż agencja literacka, dla której pracuje

Louisa, zarabia przez cały rok. Edward radzi sobie fenomenalnie, ale obie jesteście Brytyjkami, więc nie rozmawiamy o takich rzeczach. Poza tym moja agentka dobrze wie, kim jest Edward, z jakiej rodziny pochodzi. Jest z rodu Holbecków, a z takim nazwiskiem nawet bez rodzinnych zasobów człowiek jest niemalże skazany na sukces. – Właśnie jadę się z nim spotkać. Zabiera mnie na łyżwy.

– Na łyżwy? – Słyszę ton zaciekawienia w jej głosie. Bardzo chce się czegoś o nim dowiedzieć. O wszystkich Holbeckach. Jakimś sposobem udało mi się złowić jednego z najbogatszych kawalerów w Ameryce, chociaż nawet nie próbowałam, i teraz wszyscy chcą wiedzieć, jak i dlaczego to zrobiłam. Ale przede wszystkim ciekawi ich, jacy oni są.

Oczywiście można to sprawdzić w Google’u. Bóg jeden wie, że sama robiłam poszukiwania na szeroką skalę raz, a może nawet dziesięć razy w ciągu tych tygodni po tym, jak poznałam Edwarda. Pokolenia bogactwa wplecione w tkanę Ameryki od czasów pozłacanego wieku, żegluga, kontakty towarzyskie i oczywiście nieustannie obecny cień wątpliwej moralności. Niezliczone artykuły, informacje w rubrykach plotkarskich, relacje w działach poświęconych biznesowi, w których wymienia się nazwisko Holbecków, a jednak ta aura tajemniczości, którą utrzymują wokół siebie, oznacza, że ludzka ciekawość pozostaje niezaspokojona. Wciąż są nieuchwytni, nieprzewidywalni. Jeśli dodać do tego ich ponoć nieczuły urok, to zyskujemy mocną i intrygującą mieszankę.

– Zabiera cię na łyżwy? Na łyżworolki? – dopytuje Louisa z niedowierzaniem, chociaż wątpię, żeby cokolwiek, co powiedziałam jej o Edwardzie, tak naprawdę było w stanie ją zaskoczyć.

– Nie – odpowiadam. – Nie zabiera mnie na przejażdżkę po lodzie. To tradycja rodzinna, lodowisko przy Rockefeller Center, początek sezonu. Chce, żebyśmy w tym roku poszli tam razem...

– O Boże, cała jego rodzina tam będzie? – przerywa Louisa. Umiera z ciekawości, żeby usłyszeć nowe informacje na ich temat, ale nie potrafię dostarczyć jej więcej ciekawostek, niż znalazłam do tej pory w internecie.

– Nie. Jeszcze ich nie poznałam. Na razie nie ma żadnej rodziny. Edward jest przerażony tym, że mnie odstraszą. – Wzdrygam się, kiedy to mówię. Wiem, jak to brzmi. Playboy milioner nie przedstawia rodzinie swojej dziewczyny. Mam świadomość, że dla Edwarda wyrzuciłam swoje życie do góry nogami, a do tej pory nie poznałam jego rodziców. Ale zupełnie nie o to chodzi. Widzę to w jego oczach, kiedy o nich rozmawiamy. Ma swoje powody i przyjdzie na to czas. Poza tym przecież nie przeprowadziłam się tutaj z jego powodu. Od dłuższego czasu potrzebowałam zacząć wszystko od nowa, a sukces mojej książki i poznanie Edwarda sprawiły, że stało się to bardzo prawdopodobne.

Zabawne. Zawsze myślałam, że kiedyś tutaj wyląduję. Moja matka była Amerykanką. Czasem, gdy zamykam oczy, w kafejkach i restauracjach niemalże słyszę jej głos w tłumie, otaczają mnie zewsząd te jej okrągłe otwarte samogłoski, ich ciepło, jak przeszłość.

To dziwne, że w ogóle nie przypominam sobie głosu mojego taty, ale miałam zaledwie jedenaście lat, kiedy to się wydarzyło. Dwadzieścia lat nowych doświadczeń dopisało się do tego, co kiedyś było tak czytelne. Chociaż wciąż bardzo

za nim tęsknię. Zapominanie przychodzi w naturalny sposób, kiedy pamięć tak bardzo boli.

Louisa chichocze.

– Nic dziwnego, że jest ostrożny. Sprawiają wrażenie przerażających. No wiesz, co mam na myśli, fascynujący, ale... Powodują zamieszanie. – Ton jej głosu staje się figlarny, konfidencjonalny. – Chociaż tak między nami, jasny gwint, bez wątpienia poświęciłabym się i spędziła kilka niewygodnych godzin z teściami, gdyby Simon choć w połowie wyglądał tak bosko w garniturze jak Edward. – Louisa i Simon rozstali się w zeszłym roku. Nie było z niego pożytku pod żadnym względem, ale komplement pozostaje komplementem.

I ma rację. Byłabym skłonna znieść bardzo dużo, żeby być z Edwardem.

– A jak ci idzie pisanie nowej książki? – pyta z wystudiowaną nonszalancją, na którą prawie się nabieram. Przekroczyłam termin ukończenia mojej drugiej książki o trzy tygodnie.

Trzęsę się na zimowym wietrze, czekając, aż na przejściu dla pieszych zmieni się światło. Prawda jest taka, że od miesiąca nie jestem w stanie się skupić. Już sama myśl o tym, żeby usiąść i skończyć tę książkę, mnie wykańcza. Na przejściu dla pieszych rozlega się „piip-piip” i dołączam do roju osób dojeżdżających do pracy, który płynie przez Piątą Aleję.

– Harry? – Głos Louisy przywołuje mnie do rzeczywistości. – Co z książką?

– A tak. Przepraszam. Książka się pisze – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Prawie skończyłam – dodaję, co z prawdą mija się całkowicie. – Potrzebuję tylko...

– ...jeszcze miesiąc? – przerywa. Zbyt dobrze mnie zna.

– Hmm. Tak. Byłoby... Byłoby wspaniale.

– Zgoda. Wstrzymam jeszcze wydawców na miesiąc. Posłuchaj, pierwsza książka wciąż znika spółek, więc jesteśmy w dobrej sytuacji. Ludzie zaczekają na kolejną, ale musisz być wobec mnie uczciwa i powiedz mi, na jakim etapie jesteśmy, Harry. Rzeczywiście prawie ją kończysz?

Powaga w jej głosie mocno mnie porusza.

– Tak. Cztery tygodnie, może mniej. Przysięgam. Pierwszy maszynopis będzie gotowy. – Kiedy to mówię, uświadamiam sobie, że to będzie bardzo trudne do zrobienia, ale dam radę. Potrzebuję tylko wyjść z dołka.

Kątem oka patrzę na zegar, który mruga wysoko na bocznej ścianie biurowca. Muszę zakończyć tę rozmowę. Rockefeller Center tuż przede mną i Edward będzie tam na mnie czekał.

– Aha. I zapomniałam powiedzieć, że wydawcy chcą się spotkać w tę środę po południu, żeby porozmawiać na temat wydania w miękkiej oprawie. W głównej siedzibie, dobrze?

Przedemną wyłania się połyskująca fasada domu towarowego Saks, naprzeciwko wejścia na lodowisko, i uświadamiam sobie, że przestało padać.

Zgadzam się na spotkanie z wydawcą, rozłączam się i wyciszam telefon, po czym ściągam zimową czapkę, rozpuszczam włosy i przeglądam się w szybie wystawowej. Jesteśmy z Edwardem razem nieco ponad rok, ale nie potrafię sobie wyobrazić, że kiedykolwiek przestanę się denerwować przed randką.

Dzisiejszy wieczór będzie wyjątkowy. Czuję to. Zostaną wprowadzona w tradycję rodzinną. Bóg jeden wie, że

przydałoby mi się kilka takich tradycji. Sieroty zwykle nie miewają ich zbyt wiele.

Kiedy wychodzę zza rogu Rockefeller Plaza, zapiera mi dech w piersi – przepych bożonarodzeniowych dekoracji sprawia, że przystaję w zachwycie.

Przedemną znajduje się tunel czystego światła uformowanego na kształt zwiastujących aniołów z uniesionymi złotymi trąbami. Kolor, światło i ciepło. A za nimi słynne drzewo wznosi się w nowojorski nieboskłon. Czytałam dzisiaj rano w gazecie, że mierzy ponad dwadzieścia cztery metry wysokości, ale dopiero teraz, kiedy pod nim stoję, dociera do mnie, jaki to rozmiar. To największa choinka, jaką w życiu widziałam. Stoję z rozdziawionymi ustami, gapiąc się w górę. Wokół mnie kilka innych pokrewnych dusz patrzy w tę samą stronę jak zahipnotyzowane, podczas gdy reszta Nowego Jorku przepycha się obok nas. Osiemnaście tysięcy świateł mruga złotem w nocnym powietrzu, gęstym od zapachu nordyckiej sosny i smakowitego aromatu bożonarodzeniowych smakołyków rozchodzącego się z rozstawionych wokół placu stoisk.

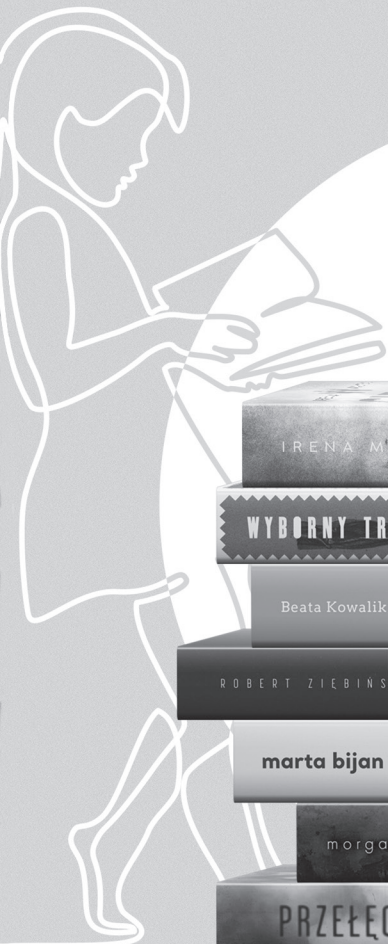
Czyjaś dłoń chwytą mnie za ramię i odwracam się w odpowiedzi na znajomy dotyk. Edward. Opatulony ciepło przed chłodem, w kaszmirowym szaliku i płaszczu, ze zmierzwiionymi włosami i rozpromienionymi oczami.

– Wystraszyłeś mnie na śmierć – kłamię zbyt zakłopotana, by powiedzieć, że wszędzie rozpoznalabym jego dotyk.

– Przepraszam – mówi z uśmiechem. – Zawołałem cię po imieniu, ale chyba nie usłyszałaś. – Kiwnięciem głowy wskazuje na choinkę i obejmuje mnie w pasie, a ja wtulam się w niego, czując ciepło jego ciała. – Piękna, prawda?



HISTORIE WARTO OPOWIEDZIEŃ



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH